



V I S T U L A



PORTOFINO LINE

PAN ma nowego prezesa



© PAPRAFAL GUZ

Nowym prezesem Polskiej Akademii Nauk został **prof. Jerzy Duszyński**, biochemik z Instytutu Biologii Doświadczalnej PAN. Wygrał z prof. Mirosławą Marody, socjolożką z Uniwersytetu Warszawskiego i ustępującą wiceprezes Akademii – pierwszą kobietą ubiegają-

cą się o najwyższe stanowisko w PAN. Wybory trwały od jesieni, kiedy nie udało się rozstrzygnąć rywalizacji między kończącym drugą kadencję prezesem prof. Michałem Kleiberem a prof. Duszyńskim. Prof. Kleiber wycofał się z dalszych zmagania, odbywających się w cieniu głośnej wypowiedzi prof. Leny Kolarskiej-Bobińskiej, ministerki nauki i szkolnictwa wyższego, która w grudniu ub.r. podczas uroczystości rozdania „polskich Nobli”, czyli nagród Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, ogłosiła „debatę nad przyszłością Polskiej Akademii Nauk”.

Oboje kandydaci nie mieli wątpliwości, że PAN ma przyszłość, z tego choćby względu, że kilkadziesiąt instytutów Akademii należy do czołówki polskiej nauki i dysponuje olbrzymim potencjałem badawczym. To, że nie jest on w pełni wykorzystany, wynika z chronicznego niedofinansowania nauki w naszym kraju – 0,8 proc. PKB stawia Polskę na szarym końcu europejskich statystyk. Potrzebna jest więc debata nad przyszłością, lecz nie Akademii, ale polskiej nauki właśnie. Debata takiej domagają się

m.in. humaniści głośno protestujący przeciwko upadkowi prestiżu i znaczenia swoich dyscyplin.

Nowy prezes PAN jako podsekretarz stanu w Ministerstwie Nauki w latach 2007–08 miał okazję poznać realne możliwości krajowej polityki naukowej. Jako szef Akademii będzie miał na nią raczej niewielki wpływ. Może go wzmocnić, jeśli zdoła zwiększyć obecność PAN w społecznej świadomości. Bez wątpienia potrzebne są najwyższej jakości badania podejmowane w instytutach Akademii. Ale w czasach przyspieszających zmian cywilizacyjnych potrzebujemy także autorytatywnych objaśnień w kwestiach takich, jak globalne ocieplenie, nowe techniki medyczne, energetyka atomowa, polityka społeczna. Coraz częściej bowiem występujący w mediach eksperci z profesorskimi tytułami mają niewiele wspólnego z nauką i reprezentują siebie, swoje fobie lub grupy interesu. PAN powinien w tej grze pełnić funkcję eksperta działającego na rzecz największej grupy interesu – społeczeństwa.

EDWIN BENDYK

Miasta – czas skromności

Ostatnie wybory samorządowe zmieniły radykalnie pejzaż polityczny w wielu polskich miastach. Ikoną tych zmian stał się **Robert Biedroń**, nowy prezydent Słupska, który pozyskał serca i głosy wyborców, obiecując nie tylko personalną, ale i realną alternatywę dla dotychczasowej władzy. Alternatywą tą ma być nowa, progresywna polityka miejska odwołująca się do zasady trwałego i zrównoważonego rozwoju, transparentności, otwartości, współzależności z mieszkańcami. Frazesy? Uprowadzając ten zarzut, Robert

Jan Koza



© JAN KOZA

Biedroń zaprosił prezydentów i burmistrzów, którzy w listopadzie zdobyli władzę, odwołując się do podobnego programu.

Nowi władze, m.in. Kalisza, Ostrowa Wielkopolskiego, Starachowic, Świdnicy, Braniewa i Sejna, dyskutowali w Słusku, jak hasła progresywnej polityki miejskiej wdrażać w życie: budżet partycypacyjny, inicjatywa lokalna mieszkańców, inicjatywa uchwałodawcza, referendum, rzeczywisty dostęp do informacji publicznej, wzmocnienie roli ciał przedstawicielskich – rad osiedlowych, młodzieżowych i senioralnych rad miasta, izb gospodarczych, a także kształcenie urzędników w ramach wymiennych staży między miastami to tylko kilka instrumentów.

Czas pokaże, czy za podpisaną przez uczestników słupskiego spotkania deklaracją progresywnej polityki miejskiej pójdą rzeczywiste działania, czy Słupsk lub Gorzów Wielkopolski staną się polskimi odpowiednikami brazylijskiego Porto Allegre, symbolu innowacji demokratyzujących miejską (i krajową) politykę. Bo nie ma wątpliwości, że polskie miasta potrzebują nowego impulsu rozwojowego – wiele z nich zadłużyło się do granic możliwości, inwestując w bezproduktywną często infrastrukturę. Nadszedł czas skromności, trzeba robić lepiej za mniej, zastępując brakujące pieniądze innowacjami i społeczną energią. To niełatwe zadanie wobec coraz większych aspiracji mieszkańców. To jednak ciekawe wyzwanie i szansa dla ujawnienia nowych liderów zdolnych do modernizacji polskiej polityki. (EB)



© GERARD/REPORTER

masz więcej za mniej

smartfon z rozmowami
bez limitu, a do tego
laptop ze wsparciem IT



4G lte

Lumia 635



HP 255

Warto być w **Orange dla Firm**, bo teraz
za **99 zł + VAT** miesięcznie zyskasz:

- smartfon Lumia 635,
- rozmowy bez limitu do Orange
i na stacjonarne,
- laptopa HP 255 ze zdalnym wsparciem IT,
- internet LTE bez limitu.



biznes zmienia się z **orange™**

Podana cena stanowi opłatę miesięczną i dotyczy oferty z e-fakturą, za korzystanie z której udzielany jest rabat w wysokości 5 zł + VAT. Opłata za abonament dla Klientów aktywujących nowy numer i nieprzenoszących numeru od innego operatora w promocji Smartfony w Orange Biz na raty jest wyższa o 5 zł + VAT. Zestaw za 99 zł + VAT składa się z oferty Smartfony w Orange Biz na raty przy umowie na 30 miesięcy, Business Everywhere w Pakiecie na raty ze wsparciem przy umowie na 36 miesięcy. Opłata miesięczna uwzględnia abonament miesięczny na usługi telekomunikacyjne oraz ratę za terminal. Sprzęty dostępne do wyczerpania zapasów. Internet LTE bez limitu z prędkością do 10 Mb/s. Możliwość korzystania z LTE zależy od wersji oprogramowania i przebywania w zasięgu LTE, posiadania właściwej karty SIM oraz korzystania z odpowiedniej oferty. LTE jest znakiem towarowym ETSI. Szczegóły oferty w regulaminie u sprzedawcy lub na orange.pl/dlafirm.

Spod Smoleńska do Wołomina

Tunis to polski 11 września – powiedział Marek Biernacki, były szef MSW i minister sprawiedliwości, przewodniczący licznych komisji sejmowych, w tym nadzorującej służby specjalne. Okazuje się, że nawet duże doświadczenie polityczne nie uwalnia od przesady i nie daje umiejętności zachowania proporcji. Tunis nie jest żadnym polskim 11 września. Jest kolejnym dramatycznym aktem terroru, różniącym się od innych tym, że ofiarami ataku byli także Polacy. Dla uczestników wycieczki, którzy znaleźli się w ogniu strzelaniny, jest przeżyciem traumatycznym, od którego długo się nie uwolnią. Tego typu zdarzenie jest jednak także ważnym sprawdzianem dla władz państwa, przede wszystkim rządu, jego zagranicznego przedstawicielstwa, mediów i całej sfery politycznej teraz akurat uwikłanej w kampanię wyborczą. Wyszło nam to średnio.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że już z napływem pierwszych szczątkowych informacji zaczął się polityczno-medialny wyścig, kto szybciej ten dramat „zagospodaruje” i lepiej go udratyzuje. Im bardziej mało prawdopodobieństwo, że liczba śmiertelnych ofiar wzrośnie, tym temat stawał się mniej nośny, a w medialnych przekazach więcej miejsca poświęcano zniechęcaniu się nad marszałkiem Sejmu Radosławem Sikorskim (który, nie ma co ukrywać, zaliczył wpadkę) niż dramatowi ludzi – ofiar terroru. Wróciliśmy więc szybko do tego, co lubimy najbardziej – politycznych potyczek.

W tej nagłej sytuacji zdecydowanie najlepiej spisała się premier Ewa Kopacz i rząd. Spokój i powściągliwość w podawaniu informacji, dopóki nie zostaną dokładnie sprawdzone, zorganizowanie pomocy psychologicznej, medycznej, a także konsularnej poszło szybko i sprawnie. Ambasada w Tunisie jest nieliczna i nawet tak doświadczony ambasador jak Iwo Byczewski miał prawdziwie sądny dzień, czy nawet dni, gdy szukał rannych po szpitalach, próbując jak najszybciej ustalić, co stało się z polskimi obywatelami i jaka skala pomocy będzie potrzebna. Rząd i jego agendy zrobiły więc co trzeba. Prezydent próbował zachować powściągliwość, z tym że prezydent jest akurat w trakcie kampanii i każde jego zachowanie oceniane jest przez ten przyzmat. Pospieszne opuszczanie flagi do połowy masztu na pałacą czy zawieszanie kampanii już większego sensu nie miało. Prezydent i tak dzieli swój czas na kampanię i sprawy państwowe, i jest oczywiste, że w takim momencie działa jako głowa państwa.

Po co kampanię zawieszal Andrzej Duda? Dla wydania komunikatu, że jest z ofiarami terroru? Nie za bardzo był, skoro już dzień później ruszył w Polskę, by wabić Śląsk swoją wizją rozwoju czy zapolować na Bronisława Komorowskiego żądaniem, aby ten oznajmił, czy jest za wstąpieniem Polski do strefy euro od 1 stycznia 2016 r. W kampanii wszystkie chwytły dozwolone, ale jednak wypada, aby kandydat największej partii opozycyjnej cokolwiek wiedział na temat, o którym się wypowiada. Prezydent Komorowski, zachęcając do przygotowania się na przyjęcie euro, nigdy o 1 stycznia 2016 r. nie mówił. Nie mógł tego robić, bo wciąż jest to niemożliwe prawnie, technicznie, konstytucyjnie. Ale co szkodzi już dziś straszyć ludzi nieuchronną drożyną?

Duda atakuje za pomocą euro, bo ma poważny kłopot. Nie wywinie się tak łatwo ze swojego sprzeciwu w sprawie konwencji antyprzemocowej czy projektu ustawy o in vitro,



który wchodzi pod obrady na następnym posiedzeniu Sejmu. Nie wywinie się tak łatwo z kwestii SKOK, których bronił przed Trybunałem Konstytucyjnym w imieniu prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Obecnie prokuratura mówi o ponad 2 tys. śledztw w sprawie nadużyć w SKOK, Leszek Balcerowicz o największej aferze finansowej III RP, a świadomość, że z gwarancyjnego funduszu poszło już na ratowanie tych kas i wkładów ludzi, którzy kasom zawierzyli, ponad 3 mld zł, staje się coraz powszechniejsza.

PIŚ jest świadome tych kłopotów Dudy i oto jesteśmy świadkami ciekawej operacji zmiany ojców chrzestnych SKOK. Nie są już nimi politycy PIŚ, ale... Bronisław Komorowski. Głosował bowiem przeciwko rozwiązaniu WSI, a SKOK, zwłaszcza zaś najślynniejszy z Wołomina, to dziecko WSI! To jest nowe, wielkie odkrycie PIŚ i tradycyjne dla tej partii odwracanie kota ogonem. W bój o jego upowszechnienie ruszył sam Antoni Macierewicz, który każdej teorii z wielką precyzją dowiedzie. Potężne nici potężnych WSI, które przeniknęły do SKOK, mają teraz obezwładnić prezydenta, tak jak jakieś siły obezwładniły tupolewa pod Smoleńskiem. Jak się okazuje, drogę od Smoleńska do Wołomina wytyczyć nie jest trudno. PIŚ już powołało zespół poselski w tej sprawie, pytania na posiedzeniach plenarnych Sejmu stają się coraz bardziej agresywne, kampania mediów niepokornych (finansowanych przez SKOK) trwa.

Zapewne będziemy jeszcze świadkami wielu dziwnych zdarzeń. PIŚ powołuje właśnie Centralne Biuro Ochrony Wyborów, oczywiście przed fałszerstwami. Ma mieć ono tak modną dziś strukturę prawie militarną. (Pilniejszą potrzebą byłby jednak obywatelski ruch obrony wyborów przed głupotą).

Na razie trwa jednak tradycyjna bitwa na liczbę zebranych podpisów. Zaskoczył pół milionem Adam Jarubas, gdyż wydawało się, że żadnej kampanii nie prowadzi, ale jednak aparat PSL sprawności nie stracił, nawet jeśli ostatecznie zgłosuje na Komorowskiego. Zaskoczył trochę sztab Bronisława Komorowskiego, że nie podjął rywalizacji z PIŚ i już pierwsze ćwierć miliona podpisów do PKW przekazał. Gdyby na tym poprzestał, dałby dowód, że zachowuje się racjonalnie i nie traci czasu na wysiłki niepotrzebne. Generalnie w ogóle wysiłki sztabu wydają się mało potrzebne, w tej kampanii zbyt wielu już Bronisława Komorowskiego nie pokocha. Mamy oto taki fenomen, że w rankingu zaufania, który akurat się pokazał, prezydent ma niezmiernie swoje 70 proc. i przewodzi całej politycznej stawce, a jako kandydat spada poniżej 50 proc. Znaczy – dobry prezydent, gorszy kandydat?

W bitwie na podpisy PIŚ pewnie będzie chciało dobić przynajmniej do miliona, aby propagandowo kandydata wesprzeć. Jarosławowi Kaczyńskiemu zebrano przed poprzednimi wyborami ponad 1,5 mln i zrobiło to wrażenie. Nie zaskoczył początkowo lekceważony Paweł Kukiz, choć przecież od dawna było jasne, że będzie miał poparcie Solidarności. Ponadto jest kandydatem zdecydowanie wyróżniającym się konsekwencją w antyestablishmentowym nastawieniu, oburzeniem wyglądającym na autentyczne i obrońcą okręgów jednomandatowych, w których wiele osób upatruje sposobu na zmianę polskiej polityki. Stał się specjalistą od prostych haseł. On po prostu chce zmiany ustroju i paradoksalnie jest to może najbardziej wyraziste, rzeczycieście prezydenckie przesłanie tej kampanii. Kukiz ma szansę zgromadzić jakiś kapitał polityczny i może nawet wyprzedzić dr Magdalenę Ogórek, która w każdej sprawie chce się kierować wolą narodu.



WÓLCZANKA

sklep online: wolczanka.com.pl

Netanjahu, na szczęście Arabom



Łukasz Wójcik

Jest taka teoria, że w Izraelu lewica mówi o pokoju z Arabami, ale robi go prawica. To chyba jedyna nadzieja dla regionu po wyborach do Knesetu z 17 marca. Wygrał je bezapelacyjnie prawicowy Likud dotychczasowego premiera Beniamina Netanjahu, który w tych dniach dogrywa szczegóły nowej, jeszcze bardziej konserwatywnej niż poprzednia koalicji rządowej.

Kampania przed wyborami skończyła się fatalnie dla stosunków izraelsko-arabskich. Netanjahu w ostatnim boju o głosy obiecał, że pod jego rządami nie powstanie państwo palestyńskie (teraz się z tego wycofuje), a w dniu głosowania otarł się już o rasizm, strasząc Izraelczyków „kolejkami Arabów przed punktami wyborczymi”. Pomijając środki, Netanjahu cel swój osiągnął: rozpiął przyspieszone wybory, bo poprzednia szeroka koalicja rządowa była już niesterowalna, a teraz czekają go cztery lata bardziej spokojnych rządów.

Stabilny, prawicowy rząd w Izraelu? Arabowie powinni się cieszyć, bo paradoksalnie w takich okolicznościach Izrael szedł na największe ustępstwa: zawarł pokój z Egiptem i siłowo ewakuował osadników ze Strefy Gazy. W sprawie Egiptu decyzję podjął pierwszy prawicowy premier Izraela Menachem Begin, były terrorysta. W 1978 r. wynegocjował pierwszy w ogóle układ pokojowy Izraela, za co wraz z prezydentem Egiptu Anwarem Sadatem dostał Pokojową (sic!) Nagrodę Nobla. Z kolei przymusowa ewakuacja 8,5 tys. izraelskich osadników ze Strefy Gazy w 2005 r. (jedyna taka akcja w historii Izraela) była dziełem Ariela „krwiopijcy” Szarona, przy którym Netanjahu przypomina gołąbka pokoju. Premier Szaron, gdy w 2001 r. rozjeżdżał mu się szeroki rząd z lewicą, tak jak Netanjahu przyspieszył wybory i utworzył skrajnie prawicową, stabilną koalicję, która podjęła decyzję o opuszczeniu Gazy.

Netanjahu, mimo butnej miny po ostatnich wyborach, tym razem najadł się strachu, o czym świadczy nerwowa końcówka kampanii. Jest świadom, że uciekają mu młodzi wyborcy, którzy nie chcą już słuchać o irańskiej bombie i palestyńskich terrorystach. Ile wyborów można wygrać strachem? Izrael znów ma stabilny prawicowy rząd, więc – premierze Netanjahu – może czas na kolejny przełom w historii Izraela?



© ANZENBERGER/FORUM

Gospodarka topi Putina

Obchody pierwszej rocznicy aneksji Krymu nie były w stanie przesłonić gospodarczej zapaści Unii Euroazjatyckiej. Utworzona 1 stycznia, miała być dla rosyjskiej „bliskiej zagranicy” – zwłaszcza Ukrainy – konkurentem Unii Europejskiej. Tymczasem agencje ratingowe uznały właśnie za śmieciową wiarygodność kredytową nie tylko Rosji, ale również innych członków tej postradzieckiej Unii: Kazachstanu i Azerbejdżanu. Wiedeński Instytut Gospodarki Porównawczej przewiduje na 2015 r. spadek rosyjskiego PKB o 4 proc., ale niektóre prognozy mówią nawet o 7-proc. zapaści. Upadek rubla i cięcia wydatków budżetowych (o 10 proc. w 2015 r.) uderzają w liczącą szacunkowo 30 mln osób rosyjską klasę średnią, która zyskała w latach dobrej koniunktury (1999–2007).

Zachodnie sankcje i spadek cen ropy nakładają się na skutki braku reform oraz zwiększenia wydatków wojskowych. Znany austriacki publicysta Paul Lendvai pisze w dzienniku „Der Standard”, że styczniowa inflacja wyniosła w Rosji 15 proc., a konsumpcja spadła o 10 proc. „Perspektywy na przyszłość są ponure – przekonuje Lendvai. – Rząd musi miliardami wspierać własną walutę (w ubiegłym roku rubel stracił do dolara 44 proc. wartości) oraz liczne koncerny państwowe”. Narastają więc wątpliwości, czy wstrząsany kryzysem kraj będzie w stanie w 2018 r. sfinansować mistrzostwa świata w piłce (szacowany koszt: 22 mld dol.). Wskaźnik poparcia dla Putina wciąż jeszcze przekracza 80 proc. Lendvai twierdzi jednak, że na dalszą metę – bez możliwego do przyjęcia dla wszystkich kompromisu w sprawie Ukrainy – nawet skuteczna kampania dezinformacyjna nie będzie w stanie przesłonić społecznego niezadowolenia z gospodarczego kryzysu.

Polak katolik na telefon

W ciągu ostatnich czterech lat liczba katolików w protestanckiej Norwegii statystycznie podwoiła się: do niemal 140 tys. Ten nagły przyrost wzbudził jednak podejrzenia urzędników, zwłaszcza że państwo dofinansowuje z budżetu organizacje religijne, a wielkość dotacji zależy od liczby wiernych. Policja zrobiła więc nalot na siedzibę stołecznej diecezji katolickiej. Okazało się, że jej pracownicy po prostu wertowali książki telefoniczne w poszukiwaniu nazwisk wskazujących na imigrantów z krajów tradycji katolickich, po czym bez pytania rejestrowali ich jako wiernych. Falszywe listy zasilili głównie Polacy, którzy od otwarcia norweskiego rynku pracy w 2009 r. przyjechali tu w liczbie niemal 100 tys. i dziś są najliczniejszą mniejszością narodową w Norwegii.

Biskup Oslo i pełnomocnik finansowy diecezji zostali oskarżeni o fałszerstwo i wyłudzenie z budżetu równowartości 24 mln zł, choć ten pierwszy nie poczuwa się do winy. Równocześnie zlecił wydanie informatora katolickiego po polsku, który ma być „kanałem komunikacji dla Polaków mieszkających w Norwegii”. Trzeba mieć nadzieję, że bardziej interaktywnym niż książka telefoniczna.

Szokujące fotki

Podczas tegorocznych, jak zwykle hucznych, obchodów dnia św. Patryka w USA (17 marca) w oczy rzucała się jedna nieobecność: wielka nadzieja Partii Republikańskiej **Aaron Schock**. W 2009 r. dostał się do Izby Reprezentantów jako zaledwie 27-latek; nie stronił od występów w programach typu reality show, uwielbiał błyski fleszy; uwodził Amerykanów umiejętnym nagim torsem na okładce „Men's Health” i gorliwie wrzucał po kilkanaście własnych zdjęć dziennie na Instagram.

Ito właśnie zdjęcia go zgubiły. W lutym dziennikarze „Washington Post” zainteresowali się fotografiami nowego biura Schocka, stylizowanego na wnętrza z brytyjskiego serialu „Downton Abbey” o brytyjskiej arystokracji. Ustalili, że na remont kongresmen wydał 40 tys. dol. ze środków publicznych. Potem inni dziennikarze, porównując zdjęcia z jego kont w mediach społecznościowych



© GETTY IMAGES

i rejestry oficjalnych wydatków, udowodnili, że chociaż polityk posiada ponad 3 mln dol. własnego majątku, to z pieniędzy podatników kupił między innymi bilety na koncert Katy Perry (2 tys. dol.) i replikę prezydenckiej mównicy (5 tys.). Wydał też 40 tys. na prywatne podróże samolotem, a równocześnie wystąpił do Kongresu o zwrot kosztów benzyny, podając w dokumentach o 145 tys. km więcej, niż faktycznie przejechał. To jak 48 wycieczek samochodowych z Warszawy do Madrytu, nic więc dziwnego, że – w przeciwieństwie do polskich posłów zamieszanych w pamiętną aferę madrycką – Schock ogłosił, że do końca marca złoży mandat.



© AP/PHOTOLINK

Kobiety z przymusu

Wostatnią niedzielę odbyła się we Francji pierwsza tura wyborów samorządowych. Na razie górą jest centroprawicowa UMP Nicolasa Sarkozy'ego. Druga tura dopiero za tydzień, ale do rewolucji w systemie wyborczym doszło: zapewniona została – i to dokładnie – równa liczba kobiet i mężczyzn radnych, bowiem wyborca nie mógł oddać głosu inaczej niż na zestawione razem dwie kandydatury: mężczyzny i kobiety. Tworzą oni, jak można by rzec po amerykańsku, ticket wyborczy, po czym – jeśli ich pakiet wygra – mandaty będą sprawować niezależnie i oddzielnie. System ten wpro-

wadziła francuska Rada Konstytucyjna z troską, niekłą obecnością kobiet w polityce. Zwłaszcza w samorządach, bo dotychczas w zgromadzeniach departamentalnych zasiadało tylko 14 proc. kobiet, a wśród merów miast i gmin było ich 16 proc. Głównym zmartwieniem kraju przy tych wyborach nie jest jednak równość płci, lecz spodziewany wzrost wpływów prawicowo-populistycznej partii Front Narodowy przy mizernej frekwencji wyborczej. Ale to też w końcu jakiś parytet, bo we francuskiej polityce nie było jeszcze tak silnej kobiety, jak szefowa Frontu Marine Le Pen.

Ile zaboja w Brytyjczyku

Co prawda ostatnią skuteczną inwazję na Wyspy Brytyjskie przeprowadzili Normanowie w XI w., ale ani ich podbój, ani obecność na Wyspach Rzymian czy wikingów nie zapisały się szczególnie w puli brytyjskich genów. Większą skutecznością na tym polu wykazali się Anglosasi, którzy nastali w Brytanii w V w. To jedno z ustaleń 20-letnich badań genetyków z uniwersytetu w Oksfordzie. Przeanalizowali oni ponad 2 tys. próbek od mieszkających na wsi białych Brytyjczyków – dziadkowie i babcie badanych też musieli pochodzić z tej samej okolicy. I narysowali mapę genetyczną Zjednoczonego Królestwa. Wynika z niej, że najwcześniej na Wyspach pokazali

się przodkowie dzisiejszych Walijczyków. Mieszkańcom archipelagu Orkadów najbliższe do Norwegów – to z kolei spadek po wikingach. Nie ma też jakiegoś genetycznego braterstwa Celtów – największą różnorodność DNA odnotowano m.in. wśród Szkotów i Irlandczyków z Ulsteru. Za to rdzenni Anglicy 40 proc. materiału genetycznego zawdzięczają dopływowi z Francji, 26 proc. ich DNA to zasługa przodków dzisiejszych Niemców, 11 proc. – Duńczyków. Przy czym dopływ krwi francuskiej związany jest z bardzo dawnymi migracjami, jeszcze sprzed inwazji Normanów. Nigel Farage i jego eurosceptyczna UKIP zapewne odetchnęły z ulgą.

REKLAMA

CZY WIESZ, ŻE MOŻESZ ZOSTAĆ SĘDZIĄ W WYJĄTKOWYM KONKURSIE?

WEJDŹ NA GŁOSUJ.DOBROZYNCAROKU.PL I ODDAJ SWÓJ GŁOS NA FIRME, KTÓRA DOBRO CZYNI CAŁY ROK

MASZ CZAS DO 13 KWIEŚNIA!

ORGANIZATOR
AKADEMIA ROZWOJU FILANTROPII W POLSCE

FUNDATOR
POLSKO-AMERYKAŃSKA FUNDACJA WOLNOŚCI

Możesz wygrać zaproszenie na Galę Finałową Konkursu o tytuł „Dobroczynca Roku”! Szczegóły na dobrozyncaroku.pl

Front południowy



Uciekinierzy z Afryki przedzierają się do Europy – jedni, by tu żyć, inni, by ją zniszczyć.

Tunis i Libia wygrywają z Ukrainą.
Południe Europy bardziej boi się islamistów
niż Rosjan. To dla nas kłopot.

PIOTR KOWALCZUK z RZYMU

A tak na turystów w muzeum Bardo w Tunisie przez kilka dni nie schodził z pierwszych stron gazet w Grecji, Włoszech i Hiszpanii. Tamtejsza prasa grzmiła, że „Morze Śródziemne przestaje być wystarczająco szeroką fosą dla islamistów” (hiszpańskie „ABC”), którzy opanowują kolejne kilometry północnoafrykańskiego wybrzeża. Z kolei publicyści alarmowali, że następnym krokiem będzie „desant tajnych zamachowców tzw. Państwa Islamskiego na Rzym, Madryt czy Ateny” (greckie „Kathimerini”). Gdzie przy tym wszystkim jest kryzys na Ukrainie? Na 14 stronie, w pięciu liniach.

Perspektywa zagrożenia imperialnymi ambicjami Moskwy jest dziś tak nieprzystająca do nastrojów po drugiej stronie Alp, że dyplomaci obu europejskich „obozów” mówią coraz częściej o kryzysie zaufania w Unii. Południowcy uważają, że obawy przed polityką Moskwy to tylko przejaw fobii dawnych radzieckich satelitów, które odciągają Unię od prawdziwego zagrożenia, czającego się w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Z kolei

dla wielu Europejczyków ze wschodu i północy lekceważenie rosyjskiego zagrożenia i wyolbrzymianie islamskiego problemu przez południowców podszyte jest zdradą wspólnej Europy, tym gorszą, że kupioną za grube miliony w kontraktach podpisanych z Rosją. To jednak klisze, niewiele warte bez próby zrozumienia drugiej strony.

„Putin jako sojusznik w walce z islamistami wart jest Ukrainy” – taki tytuł ukazał się niedawno na pierwszej stronie prawicowego dziennika „Liberò”. W pigułce oddaje cele polityki zagranicznej Italii i to, co myśli przytłaczająca większość Włochów. Trudno też inaczej interpretować wizytę premiera Matteo Renziego w Moskwie (5 marca), gdzie łamiąc nieformalny dyplomatyczny bojkot Rosji, zabiegał u Putina o poparcie dla międzynarodowej interwencji w Libii, wymierzonej w tzw. Państwo Islamskie. Włoski premier nie krył, że Italia chciałaby nią kierować, bo najlepiej rezezuje się w politycznych realiach swej byłej kolonii.

Włochom naturalnie chodzi o odbudowę współpracy z czasów obalonego w 2011 r. Muammara Kadafigo, gdy Libia zaspokajała 25 proc. włoskiego zapotrzebowania na ropę i gaz, a włoskie firmy zajmowały się zbrojeniem libijskiej armii, rozbudową infrastruktury i wydobywaniem surowców. Dziś wartość libijsko-włoskiej wymiany handlowej, wynosząca 40 mld euro w latach 2009–10, spadła o 80 proc.

Przed wszystkim jednak Włosi obawiają się ataku muzułmańskich fanatyków. Bojownicy Państwa Islamskiego od kilku

miesiące zapowiadają atak na Włochy, a przede wszystkim na Włochy. Po opanowaniu libijskiego portu Syrta w połowie lutego zagrozili Italii atakiem raketowym, co budzi ogromne obawy, bo Sycylię od Libii dzieli niewiele ponad 500 km, a Lampeduse – zaledwie 350.

Jeszcze groźniejsi mogą okazać się powracający do Włoch sfanatyzowani „obywatele” Państwa Islamskiego. W Syrii, Libii i Iraku walczy teraz ok. 50 posiadaczy włoskich paszportów, w tym kilku rdzennych Włochów. Z kolei z Italii wydano już blisko setkę nawołujących do nienawiści imamów, a sukcesy święci prowadzona w internecie islamska propaganda: kilkanaście niepełnoletnich włoskich muzułmanek i muzułmanów wyruszyło do Syrii.

Podobnych obaw nastroją Włochom uchodźcy przybywający na chybotałowych łódkach głównie z Libii. Liczba tych nielegalnych imigrantów rośnie dramatycznie. W 2012 r. było ich 13 tys., w 2013 – 43 tys., a w ubiegłym aż 170 tys. To głównie muzułmanie z Afryki i Bliskiego Wschodu, w tym wielu z Syrii.

Italia z tym problemem kompletnie sobie nie radzi. Co gorsza, ten intratny biznes przerzucania ludzi z rąk libijskich gangów przejmują teraz islamscy fanatycy. I zapowiadają, że zaleją Italię uchodźcami. Chętnych nie zabraknie. W libijskich obozach mieszka ponad milion osób, które marzą o podróży do Włoch, a w tureckich aż 1,5 mln uciekinierów z Syrii. Poza tym Państwo Islamskie radzi chętnym, którzy chcieliby zaatakować cele w Europie, by wmieszali się w tłum uchodźców. Faktycznie, ze 170 tys. nielegalnych przybyszów, 100 tys. uciekło z obozów i rozplynęło się w powietrzu.

Ważący zazwyczaj słowa prezydent Sergio Mattarella nawołuje do natychmiastowych działań przeciwko Państwu Islamskiemu i nie kryje, że chodzi mu o akcję zbrojną, a w komentarzu redakcyjnym dziennika „Corriere della Sera” pojawiło się wezwanie: „Wypowiedzieli nam wojnę, trzeba walczyć”.

Daleka wojna na Ukrainie Włochów kompletnie nie obchodzi, jeśli pominąć pojawiające się ciągle wyliczenia, ile z powodu sankcji nałożonych na Rosję traci włoski biznes, przede wszystkim energetyczny, spożywczy i turystyka. Obawiają się, że rozeźlony sankcjami Putin może zakręcić kurek z gazem, a Gazprom (włoski kolos energetyczny ENI ma w nim udziały i ściśle współpracuje) zaspokaja 40 proc. włoskich potrzeb gazowych.

Włosi widzą w Rosji biznesowego partnera i sojusznika w walce z islamistami. Dlatego w imię współpracy z Kremlem gotowi są złożyć w ofierze Ukrainę. Stąd, gdy Renzi pojechał do Moskwy, uznano to za przejaw rozsądku i samodzielności w polityce zagranicznej. Główny nurt włoskiej lewicy – Partia Demokratyczna i jej szef Renzi – uważa, że w konflikcie ukraińskim nie ma „dobrych” i „złych”, stara się jednak w kardynalnych punktach uzgadniać politykę wobec Rosji z Berlinem i Brukselą. Natomiast radykalna lewica jest totalnie prorosyjska, bo zawsze bierze stronę przeciwników swego arcywroga – amerykańskiego imperializmu.

Najbardziej prorosyjska jest jednak włoska prawica. Wielu prawnicowcom imponuje twarda ręka Putina, osobistego przyjaciela Silvio Berlusconi. Zarówno jego Forza Italia, jak i Liga Północna czują się rzecznikami włoskiego biznesu tracącego na sankcjach. „Nie wolno izolować Putina”, „Sankcje nic nie dają”, „Ukraina jest państwem sezonowym” to hasła prawniczych polityków i prawniczych mediów.

W „Liberò” ukazał się spory analityczny tekst zatytułowany: „10 powodów, dla których w sporze o Ukrainę między Unią a Rosją Moskwa ma rację”. Decyzję o utworzeniu natowskiej szpicy w Europie dziennik „Il Giornale” (należy do rodziny Berlusconi) skomentował: „Obama chce nas posłać na wojnę z Putinem”. Od miesięcy Polska i kraje bałtyckie oskarżane są nie tylko przez prawnicowe media o genetyczną rusofobię. Chwilami można wręcz odnieść wrażenie, że to świadoma polityka informacyjna kierowana z Kremla.

Hiszpanie, podobnie jak Włosi, boją się islamskich terrorystów i mają ku temu jeszcze większe powody.

To z ich rąk w zamachu bombowym na pociągi w Madrycie w 2004 r. zginęło 191 osób. Ok. 400 posiadaczy hiszpańskiego paszportu walczy teraz w szeregach Kalifatu. W internecie już zapowiedzieli, że po powrocie zaatakują kościoły, posterunki policji i siedziby władz lokalnych. W ciągu ostatnich 10 lat blisko 500 islamskich ekstremistów trafiło w Hiszpanii za kratki lub zostało wydalonych, a więc dwa razy więcej niż w Italii.

Nie bez racji szef hiszpańskiego MSW Jorge Fernandez Diaz już w sierpniu ub. roku alarmował: „Hiszpania jest jednym z ważniejszych strategicznych celów globalnego dżihadu”. Hiszpańscy islamscy w internecie rozpoczęli kampanię propagandową, w której zamieszczają swoje fotografie z zasłoniętą twarzą na tle pałacu Aljaferia w Saragossie, na słynnej plaży La Concha w San Sebastian czy u stóp 12-metrowej figury Chrystusa na Monte Urgull z transparentami: „Jesteśmy państwem islamskim”. Na swoich stronach piszą: „Odzyskamy Hiszpanię, bo to kraj naszych praociców”.

Pośród tych zagrożeń wojna na Ukrainie Hiszpanów – rządu i mieszkańców – specjalnie nie porusza. Tym bardziej że Hiszpania nie importuje rosyjskiego gazu, a wartość obrotów handlowych z Rosją jest śmiesznie niska. Jeśli chodzi o hiszpańską politykę wobec Rosji, pytany o to ekspert Centrum Spraw Międzynarodowych w Barcelonie Nicolas de Pedro odpowiada: „Takiej po prostu nie ma. Rosja leży daleko, a Hiszpania chce mieć spokój. Madryt jest przeciwny sankcjom, więc wydaje się prorosyjski. Tymczasem Europa Wschodnia nigdy Hiszpanii i Hiszpanów nie interesowała”.

Hiszpanom nie podobają się jednak nakładane na Rosję sankcje, bo zubożają Rosjan. A to, choć nie najliczniejsi (1,5 mln rocznie), to dalece najwięcej wydający turyści. Co więcej, Rosjanie przed ukraińskim kryzysem masowo wykupywali hiszpańskie nadmorskie nieruchomości, a wskutek drastycznego spadku wartości rubla kupują teraz o wiele mniej.

Choć Hiszpanom niespecjalnie podobają się autorytarne rządy Putina, tak jak we włoskim przypadku z powodu silnych antyamerykańskich sentymentów wspierają Rosję jako wroga Ameryki. Hiszpańskie lewicowe partie i media zupełnie jak włoska prawica są praktycznie pasem transmisyjnym kremłowskiej propagandy. Hiszpańscy lewicowcy są na ogół przekonani, że w Kijowie do władzy doszli faszyci z Majdanu.

Nowy rząd Grecji ultralewicowej partii Syriza w kryzysie ukraińskim otwarcie wspiera Rosję.

Panos Kammenos, obecnie minister obrony, w październiku ubiegłego roku oskarżył Zachód o wywołanie wojny domowej na Ukrainie, a obalenie prezydenta Wiktora Janukowicza uznał za zamach stanu. Szef Syriza Aleksis Tsipras, zanim jeszcze wygrał wybory, odwiedził Moskwę i po spotkaniu z Putinem oskarżył rząd w Kijowie o wspieranie neonazistów.

Po objęciu władzy Tsipras dawał do zrozumienia, że jeśli Unia nie przedstawi korzystniejszych warunków spłaty długów i nie udzieli Grecji dalszych kredytów, wróci się o pomoc do Rosji i zawetuje wszelkie antyrosyjskie kroki Unii z sankcjami łącznie. Szantażować Berlin i Unię usiłował też Kammenos, grożąc, że w odwecie zaleje Niemcy uchodźcami. Tych w ubiegłym roku przybyło do Grecji według ONZ ok. 45 tys., w większości Syryjczyków.

Naturalnie konflikt na Ukrainie wobec poważnych własnych kłopotów Greków i – szerzej – obywateli południowej Europy mało obchodzi. Leżącej daleko Rosji nie uważają za bezpośrednie zagrożenie. Lękają się natomiast radykalizacji własnych muzułmanów i ich konfliktu z rosnącą w siłę miejscową skrajną prawicą.

Na zachowanie Greków czy Włochów można się oczywiście oburzać. Ale bez próby zrozumienia ich obaw reszta Europa nie będzie w stanie stworzyć wspólnej polityki ani wobec Rosji, ani wobec islamistów. A jeśli Unia Europejska ma odgrywać globalną rolę, do której przecież aspiruje, powinna być w stanie prowadzić politykę na różnych kierunkach. Równocześnie. ■

Wyspa Hula-Gula

Nowa odsłona afery podsłuchowej: zeznania wyciekły, spekulacje ożyły, skandale wybuchły. Jedno nie jest jasne – kto jest celem tej akcji, a kto celuje.

PIOTR PYTLAKOWSKI

Media ogłosiły, że trwa wojna służb. Nie wyjaśniono jednak, czy służby wojują między sobą czy z państwem, które mają chronić. Każda kolejna rewelacja zamiast porządkować obraz wprowadza chaos. Wciąż nie wiadomo, po co podsłuchiwało w knajpach i dlaczego te nagrania upubliczniono. Nie wiadomo też, komu zależy na podgrzaniu emocji od nowa.

Jeden z dziesięciu

Śledztwo w sprawie nielegalnego podsłuchiwania i nagrywania w dwóch warszawskich restauracjach ma potrwać do czerwca 2015 r. Tak zapowiada prokurator generalny Andrzej Seremet, ale doświadczenie uczy, że czas, szczególnie dla prokuratorów, jest pojęciem względnym.

Warto przypomnieć, że tzw. afera podsłuchowa z kodeksowego punktu widzenia jest drobnym przestępstwem, zagrożonym karą do dwóch lat więzienia. Ściganie sprawców odbywa się wyłącznie na wniosek osób poszkodowanych. Dlatego prokuraturze od początku zależało, aby dotrzeć do wszystkich nagranych i zapytać, czy zgodzą się wystąpić o status pokrzywdzonych. Nie wszyscy chcieli. Z ok. 70 zidentyfikowanych osób tylko 39 uznało się pokrzywdzonymi.

Nadal nie wiadomo, ile rozmów i ile osób nielegalnie nagrano. Część podsłuchów podejrzani kelnerzy z Sowa & Przyjaciele oraz Amber Room zniszczyli, topiąc nośniki w Wiśle. Część, jak uważa prokuratura, umieszczono w tzw. chmurze (to miejsce w internecie, w którym można przechowywać dane). Wystąpiono do USA o pomoc prawną, czyli doprowadzenie do ujawnienia przez amerykańskich operatorów internetowych danych dotyczących plików ukrytych w chmurze.

Krąg podejrzanych nie zmienia się od czerwca 2014 r. To nadal czterech mężczyzn: biznesmeni Marek F. i jego szwagier Krzysztof R. oraz dwaj kelnerzy – Łukasz N. i Konrad L. Dwaj pierwsi mieli zlecać kelnerom podsłuchiwanie, wyposażać w sprzęt i płacić. Biznesmeni konsekwentnie nie przyznają się do udziału w procedurze, kelnerzy przeciwnie – chętnie i szeroko ujawniają śledczym wszystko, co wiedzą.

Ostatnio prokuratura wszczęła postępowania sprawdzające dotyczące no-

wych wątków. Śledczy chcą wiedzieć, czy działała tajna specgrupa złożona z funkcjonariuszy Biura Spraw Wewnętrznych KGP (tzw. policji w policji) i Służby Kontrwywiadu Wojskowego, stworzona do inwigilacji szefów służb specjalnych. Z publikacji „GW” wynikało, że taką grupę powołano na polecenie ministra spraw wewnętrznych Bartłomieja Sienkiewicza, który miał podejrzewać, że akcję podsłuchową przeprowadzono przy udziale służb i była wymierzona przeciwko niemu. To właśnie on powiadomił prokuraturę, że podejrzewa popełnienie przestępstwa poprzez pomówienie go o niezgodne z prawem działania w tej sprawie.

Prokuratura Okręgowa w Płocku prowadzi zaś postępowanie w sprawie ujawnienia przez media zeznań z tajnego śledztwa w sprawie afery podsłuchowej. Podejrzanymi nie są dziennikarze, ale osoby, które przekazały im opatrzone klauzulami materiały. Jeden z redaktorów wyjawiał, że posiada wszystkie 28 tomów akt prokuratorskich. Inne redakcje też mają całość materiału śledczego. Prokuratura sprawdza, kto miał dostęp do akt. Ustaliła, jak dowiadujemy się w Płocku, że od lutego 2015 r. akta zaczęto udostępniać pełnomocnikom pokrzywdzonych i podejrzanych. Do momentu ujawnienia zeznań dostęp do akt, a więc i możliwość ich skopiowania, miało sześciu pełnomocników. Czterech innych jest aktualnie sprawdzanych, bo nie jest pewne, czy mieli dostęp do całości akt. Ale ustalenie, który z tych dziesięciu potencjalnych sprawców wycieku jest winny, nie będzie łatwe. Prawdopodobnie śledztwo zostanie umorzono.

Na celowniku snajpera

Dlaczego afera podsłuchowa znów wróciła na czołówki gazet? Wydaje się, że komuś zależy, aby nakręcać atmosferę. Najprościej wskazać na służby specjalne, bo to one kojarzą się z tajnymi gramami. W takim przypadku celem operacji byłby bez wątpienia Bartłomiej Sienkiewicz.

Wiadomo, że po wybuchu afery podsłuchowej utracił zaufanie do szefa CBA Pawła Wojtunika. Powód był błahy. – *Przyszła do mnie Sylwester Latkowski, prosząc o pomoc w uzyskaniu audiencji u ministra Sienkiewicza* – mówi Wojtunik. Redaktor naczelny „Wprost” tłumaczył, że ma podsłuchaną rozmowę Sienkiewicza z Markiem Belką. Obawia się, że to jakaś pro-

wokacja, chce to wyjaśnić z ministrem, a ten go unika. – *Powiedziałem to wszystkim ministrowi* – kontynuuje Wojtunik. – *Nie miał żadnej podstawy, by uznać, że mam coś wspólnego z podsłuchami.*

Sienkiewicz nie spotkał się z Latkowskim. „Wprost” opublikowało zapis rozmowy ministra z szefem NBP. Co było dalej, już wiemy. Dzisiaj informatorzy „GW” twierdzą, że właśnie nieudane pośrednictwo szefa CBA było powodem objęcia go kontrolą specjalną przez grupę powołaną na polecenie Sienkiewicza. Ten zaprzecza, nie miał z tym nic wspólnego. MSW w oficjalnym komunikacie stwierdziło, że nie działała żadna specgrupa inwigilująca szefów służb.

Prokuratura bada ten wątek. Sprawa jest łatwa, wystarczy porównać numery telefonów Wojtunika i innych dowódców służb specjalnych z objętymi kontrolą operacyjną za zgodą prokuratury i sądu numerami wykazanymi jako należące do nieznanymi osób. Prokuratura już wystąpiła do Wojtunika i innych szefów o numery używanych przez nich telefonów. Musi też sprawdzić, czy oficerowie BOR z ochrony Wojtunika, jak twierdzą niektórzy, faktycznie sprawdzili osoby kręcące się zbyt blisko i zbyt często wokół szefa CBA i czy to prawda, że byli to żołnierze ze Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

Z naszych informacji wynika, że za samochodami Wojtunika i innych osób z szefostwa CBA jeździły jakieś pojazdy, m.in. volkswagen bus o charakterystycznym wyglądem. Spisano ich numery. Nawet jednak potwierdzenie, że prowadzono inwigilację, nie oznacza, że działo się to za wiedzą i zgodą ówczesnego ministra spraw wewnętrznych. Mogła to być operacja, która miała go ubrudzić i w efekcie skompromitować. – *Popenił błęd* – mówi nam poseł PO, pozostający z Sienkiewiczem w dobrych relacjach. – *Po wybuchu afery powinien zwołać naradę wszystkich służb i współpracować z nimi, a nie traktować je jako podejrzane.*

Wiele wskazuje, że nie tylko Bartłomiej Sienkiewicz jest celem nowej odsłony afery podsłuchowej. Drugim celem może być Paweł Wojtunik. Od pewnego czasu stał się niewygodny nie tylko dla starszych wrogów z otoczenia swojego poprzednika w CBA Mariusza Kamińskiego, ale też części polityków rządzącej koalicji. CBA sprawdza oświadczenia majątkowe par-



© PAWEŁ SUPERNIAK/PAP

Paweł Wojtunik, szef CBA, i były szef MSW Bartłomiej Sienkiewicz. Coś między nimi nie grało?

lamentarzystów i samorządowców i porównuje je ze stanem faktycznym. Czarne chmury zebrały się nad ministrem sportu Andrzejem Biernatem (sprawa luksusowego samochodu) i prezydentem Gdańska Pawłem Adamowiczem (niewykazane mieszkania), a także od dłuższego już czasu nad prominentnym posłem PSL Janem Burym. Aktywność CBA w związku z tym jest przez niektórych postrzegana w kategoriach spisku i pełzającego zamachu stanu. Kto miałby na tym skorzystać? „Puls Biznesu” sugeruje, że beneficjentem mógłby być Grzegorz Schetyna, który toczy zażarty bój o odzyskanie utraconej kilka lat temu pozycji w PO.

Paweł Wojtunik, o czym jego przeciwnicy zdają się zapominać, nie ma żadnych ambicji politycznych. Posiada temperament upartego policjanta, w końcu przez lata pracował w CBS, także jako funkcjonariusz pod przykryciem. – *Żaden polityk nie ma na nas wpływu, działamy wyłącznie w oparciu o ustawę* – tłumaczy.

– *To dobry szef CBA* – uważa Marek Biernacki, przewodniczący speckomisji ds. służb specjalnych. Krążą plotki, że sam Biernacki jest obiektem uwagi jakiejś grupy hakowej, która gromadzi argumenty, aby zmusić go do wystąpienia przeciwko Wojtunikowi. – *Nie jestem strachliwy, jak spróbują, to się o tym przekonają* – śmieje się Biernacki.

Szantaż z chmury

Nasz rozmówca z ABW mówi, że atmosfera nagonki na służby jest nie do zniesienia. – *Nie da się normalnie pracować w przedwyborczej Polsce, zmienionej w wyspę Hula-Gula, gdzie im bardziej komuś rośnie gęła, że go nie doceniono, tym mocniej hula afery podsłuchowa* – oświadcza.

Nie wyjaśnia, kogo konkretnie ma na myśli, ale radzi się przyjrzeć różnym grupom nieformalnym pracowników służb specjalnych. W ABW takich frakcji jest przynajmniej kilka, w CBA nadal pracują funkcjonariusze czekający na powrót Mariusza Kamińskiego.

Piotr Nisztor, dziennikarz, który w czerwcu 2014 r. dostarczył nagrania z dwóch restauracji tygodnikowi „Wprost”, w swojej książce „Jak rozpętałem aferę taśmową” podzuca następujący trop. Nagrania dostarczyli mu dwaj dżentelmeni, którzy wyjaśnili, że za podsłuchami stoją opłacani przez nich oficerowie ABW i BOR. „Dziś robi tak każdy, kto ma pieniądze. Trzyma na payrollu ludzi ze służb. To drogie przedsięwzięcie, ale opłacalne” – relacjonuje w książce słowa swoich informatorów Nisztor. Jego rozmówcy zaprzeczają, jakoby podsłuchy służyły do szantażu, ale tego scenariusza wykluczyć nie można. Wydaje się, że motyw zemsty Marka F. na Bartłomieju Sienkiewicz za kłopoty, na jakie działania podległego ministrowi CBS naraziły jego firmę Składywęgla, to zbyt proste wyjaśnienie. Prokuratura doskonale wie, że ujawniono jedynie niewielką część nagrań. Reszta gdzieś krąży, ale w obiegu niejawnym. Szantaż z chmury? Prawdopodobne.

Na adres niżej podpisanego przysłała niedawno anonimowa korespondencja w teście firmowej ABW. Nieznany autor opisał, jak się wydaje, ze środka tej instytucji, różne wątki dotyczące funkcjonariuszy tej służby i to ze szczebla kierowniczego. Donos dotyczył spraw męsko-damskich, czyli kto z kim i w jakich okolicznościach, ale też kto na kogo trzyma haki i kto, korzystając z parawanu ABW, robi własne biznesy. Ten list był utrzymany w tonie

Hula-Gula, czyli im gorzej, tym lepiej. Jeżeli morale funkcjonariuszy osiągnęło już poziom wzajemnych donosów, to strach się bać.

Kolejna odsłona afery podsłuchowej: wycieki, przecieki i wrzutki – świetnie się wpisuje w ogólną atmosferę wszechogarniającej dekadencji. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Kto odnosi korzyść z toczącej się awantury, ze sztucznie wywołanej tzw. wojny służb i konfliktu na wysokich szczeblach? Tropów jest kilka.

- Grupy sfrustrowanych i być może skorumpowanych funkcjonariuszy CBA, ABW, SKW czy BOR, którzy teraz chichoczą w ukryciu.

- Biznesmeni, czyli jak mówił Bartłomiej Sienkiewicz, Grube Misie, dla których podsłuchiwanie, o czym prywatnie rozmawiają inni, to know-how, na jakim opierają prowadzenie często szemranych interesów. Na marginesie, w bydgoskiej firmie Marka F., podejrzanego w aferze taśmowej, według śledczych, nagrywano rozmowy klientów, a nawet inspektorów skarbowych, którym udostępniano osobny pokój, odpowiednio naszpikowany mikrofonami. Tego wątku nie połączono ze śledztwem w sprawie afery podsłuchowej.

- Frakcje w rządzącej koalicji, dla których przesilenie gabinetowe to szansa na powrót do pierwszego szeregu.

- Opozycja, bo każda metoda kompromitacji przeciwników politycznych jest usprawiedliwiona.

- Autorzy scenariusza pisanego cyrylicą. Wywiad rosyjski bywa niezwykle skuteczny, a wywołanie chaosu w Polsce to zawsze jeden z priorytetów dla rosyjskich służb.

Być może część wymienionych tropów łączy się w jeden wspólnie realizowany projekt. A to już brzmi groźnie. ■